

Anna Lisiecka: Gdańsk – powietrze gęste od gróźb. Hipotetyczny spacer z Marią Herbert i „Wiadomościami Literackimi”

Spacer po ulicy św. Ducha mógł oczarować panią Marię Herbert, ale gdyby spojrziała na Zatokę, musiałyby jej się przypomnieć słowa generała Sikorskiego: „Gdynia, nasza duma, a prawdziwa perła Bałtyku, leży w Zatoce Gdańskiej i jest oddalona na długość strzału armatniego od granic wolnego miasta...” – pisze Anna Lisiecka w książce „Wakacje 1939” wydanej przez wydawnictwo Muza.

Maria Herbert – jak pisze Andrzej Franaszek w dwutomowym dziele *Herbert. Biografia* – musiała odczuć jakiś niepokój, gdy w drodze na wakacje do Jastarni pociąg relacji Lwów–Gdynia zatrzymał się na peronie Wolnego Miasta Gdańska.

Z okien sleepingów widać było las sztandarów ze swastykami, słychać nadawane przez megafon niemieckie pieśni. Wrogie, prowojenne nastroje można było dostrzec na tyle wyraźnie, że Maria – jak wspomina rodzinny kronikarz – nie zdecydowała się pokazać dzieciom Gdańska. Na krótką wycieczkę pojechała tam sama[1].

Jeśli nie jechała wyposażona w podwójny, 40-stronicowy, letni numer „Wiadomości Literackich”, to pewnie mogła kupić go na miejscu, w Gdyni albo Jastarni – bo to było pismo inteligencji. Ten numer, zatytułowany *Gdańsk*

a Polska, był ilustrowany zdjęciami mistrza fotografii, Jana Bułhaka, oraz reprodukcjami rysunków i sztychów z minionych epok. Artykuły doń wyszły spod piór najznamienitszych literatów, historyków, polityków i publicystów.

Nie wiem, czy mogła się jej spodobać patetyczna *Oda* Jarosława Iwaszkiewicza. Ale wstępniak Ksawerego Pruszyńskiego mógł ją nakłonić do odbycia podobnego spaceru:

Muszę przyznać się otwarcie, że za ostatniej bytności w Gdańsku nie odwiedziłem Komisarjatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej, że nie byłem w centrali partii hitlerowskiej, że nie zajechałem do Kałdowa, miejsca, gdzie padł już przecież pierwszy strzał (...). Jakby nic nigdy nie zaszło, włóczyłem się po ulicach i uliczkach gdańskich, ulicach i uliczkach starego, dawnego Gdańska. Kościoły o tej porze są czarne i chłodne wilgocią, jak stare lochy latem. W podsieniach domów mieszczkańskich utrzymuje się rzeźwość wirydarzy klasztornych pod wiosnę (...). Ale za to w takim lipcu jak obecny twardy gotyk najstarszych budowli traci swoją niemiecką kanciastość, twardość średniowiecznej ascezy, pruskość okutego w stal knechta. Za to barok pękających rogów obfitości, toczonych w dębnie kolumn schodowych w Dworze Artusa, rozkraczonych ciężko starych szaf i sepetów, pęcznieje jeszcze bardziej, pęka jak dojrzały owoc, wybrzusza się jak szlachcic ze sztychów Chodowieckiego, i staje się jeszcze bardziej sarmacki niż był kiedykolwiek. A cienkie rąbki złocień rokokowych na domach przy murach miejskich (ostatnie piękne co budowano w Gdańsku) stają się w tym słońcu skąpej Północy jeszcze bardziej złociste i jeszcze lżejsze (...) o takiej porze roku Gdańsk jest najbardziej polski[2].

Otuchy mógł jej dodać artykuł Jana Parandowskiego *Wspomnienie z ulicy św. Ducha*. Pomyślała, że i ona, podobnie jak autor, może, nie zważając na gromkie okrzyki rozlegające się gdzieś w sąsiedztwie, pójść zobaczyć te dawne gdańskie cuda.

Ruszyła więc być może do domu Daniela Chodowieckiego, artysty, którego ręka opowiadała – jak napisał Parandowski – *śmieszności, cnoty i występki ostatnich dni rokoka dogasających w patrycjuszowskich salonach Gdańska*. Autor przypominał Johannę Henriettę Trosiener, matkę Artura Schopenhauera, która urodziła się nieopodal kamieniczki Chodowieckiego, w Domu pod Żółwiem. Johanna Henrietta przyjaźniła się z Goethem, a opublikowane pośmiertnie pamiętniki sawantki cieszyły się popularnością. Nadmienił też, że ojciec Artura nienawidził Prusaków, którzy odcięli Gdańsk od Wisły. Wtedy to rodzice z małym Arturem zdecydowali się wyemigrować.

Z całą pewnością spacer po ulicy św. Ducha mógł oczarować panią Marię Herbert, ale gdyby spojrzała na Zatokę, musiałyby jej się przypomnieć słowa generała Władysława Sikorskiego z tego samego numeru miesięcznika:

Gdynia, nasza duma, a prawdziwa perła Bałtyku, leży w Zatoce Gdańskiej i jest oddalona na długość strzału armatniego od granic wolnego miasta. Nie mogłaby się więc ani obronić, ani utrzymać z chwilą, w której pancerniki niemieckie zarzuciłyby kotwice w Zatoce Gdańskiej[3].

Niemcy zresztą starali się wywołać panikę, strasząc wpłynięciem lekkiego krążownika „Königsberg” do portu w Gdańsku. Píše o tym wiceminister spraw zagranicznych Jan Szembek. Najwidoczniej były na ten temat rozmowy,

bo na wejście krążownika do Zatoki Gdańskiej musiała być zgoda rządu polskiego jako prowadzącego politykę zagraniczną Wolnego Miasta Gdańska. Kiedy jednak pod koniec sierpnia wpływał do Zatoki ciężki pancernik „Schleswig Holstein”, nikt o taką zgodę nie pytał.

Panią Marię Herbert, jeśli czytała „Wiadomości Literackie”, mogły pocieszyć słowa Mieczysława Smogorzewskiego, korespondenta zagranicznego „Gazety Polskiej”, któremu na początku ocieplenia naszych stosunków z Niemcami udało się przeprowadzić wywiad z kanclerzem Hitlerem.

Tym razem pisał:

Byłem niedawno w Londynie i słyszałem z ust wybitnego publicysty angielskiego takie powiedzenie: „Niemcy wołają, że ich osaczamy. Nie, my organizujemy zwycięstwo na wypadek, gdyby rząd niemiecki popełnił szaleństwo nowej napaści. Niepotrzebnie się Niemcy trudzą, próbując nam zasugerować, że Gdańsk nie jest wart wojny. Każdy Anglik rozumie, że bijąc się za Gdańsk – biłby się za Londyn i za Gibraltar, za Suez i za Kalkutę” (...) W parę dni potem byłem w Paryżu na wielkim wiecu, na którym jeden z wybitnych polityków Francji mówił wśród rzeszystych oklasków: „Trzeba się bić za Gdańsk, jeżeli się chce, by się znaleźli Europejczycy gotowi umierać za Strasburg i za Paryż” (...) Taka jest sytuacja. Jakież stąd dla Berlina wnioski? Zaniechać „Machtprobe” z Polską, nie ryzykować wojny i szukać na drodze lojalnych rokowań rzeczywiście rozsądnego, słusznego i ostatecznego uregulowania statutu wolnego miasta Gdańska[4].

Być może, na szczęście dla spokoju dzieci i pięknych wakacji w Jastarni, pani Herbertowa nie знаła innego francuskiego powiedzenia, że „nie warto umierać za Gdańsk”.

Jak pisał Karol Irzykowski, utarło się wtedy powiedzenie: „*Bujać to my, ale nie nas*”. A przed wrześniem myśmy sami siebie bujali.

Anna Lisiecka

Fragment pochodzi z książki Anny Lisickiej *Wakacje 1939* wydanej nakładem wydawnictwa Muza

[1] A. Franaszek, *Herbert. Biografia, t. 1, Niepokój*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2018, s. 115.

[2] K. Pruszyński, *Miasto niegdyś nasze...*, „Wiadomości Literackie”, nr 31/32, 1939, s. 1.

[3] W. Sikorski, *Znaczenie wojskowe Gdańska*, „Wiadomości Literackie”, nr 31/32, 1939, s. 4.

[4] M. Smogorzewski, *Mówią: „Gdańsk” – a myślą...*, „Wiadomości Literackie”, nr 31/32, 1939, s. 4.